

– Mamusiu... mamusiu, wyniki mi się pogorszyły. Ona wróciła – szepnęła Ida, a Urszula drugi raz tego dnia musiała złapać się futryny, bo inaczej chyba by upadła.

\*\*\*

– No, nie jest tak, że choroba wróciła, ale wie pani: ta choroba tak sama z siebie nie mija. To wyjątkowe paskudztwo. – Doktor Jerzy Białobrzeski, hematolog, onkolog, patrzył na wyniki badań Idy z niechęcią. Szurnął papierami w kąt biurka i ze złością podkręcił węża. Nienawidził, gdy to się działo. Miał dwadzieścia lat doświadczenia i nadal tak samo nie znosił chwil, w których zdawał sobie sprawę z tego, że białaczka z nim wygrywa.

– Ale co się dzieje? Przecież Ida się leczy, dużo wypoczywa, jeśli nie siedzi w szpitalu, to jest z rodziną, cieszy się córką... Nawet tę, no, wdzięczność praktykujemy, oboje, bo tak kazała psychoonkolog! – Tomaszowi niebezpiecznie drżał głos.

Urszula zdała sobie sprawę, że jej zięć zaraz się rozpłacze. Do tej pory zdarzyło jej się go widzieć w takim stanie tylko raz: gdy z sali porodowej wyniesiono mu Dziunię, miał ją kangurować, zanim Ida, dochodząca do siebie po cesarskim cięciu, będzie mogła przejąć małą.

– Musi pan zrozumieć, białaczka, zwłaszcza ostra, jest chorobą nieprzewidywalną. – Lekarz się skrzywił.

Urszula od razu się zorientowała, że onkolog należy do licznej grupy doktorów, którzy nie umieją rozmawiać z pacjentami o niepowodzeniach – doktorów, dla których liczą się tylko sukces, wygrana, remisja.

Ida nie wiedziała, że umówili się z jej lekarzem prowadzącym. Natychmiast po wizycie u córki Urszula zadzwoniła

do zięcia, przekazała złe wieści i naciskała, żeby jak najszybciej spotkali się z Białobrzeskim, porozmawiali poważnie. Rozważyli opcje.

– Doskonale to rozumiemy, panie doktorze. Absolutnie nie mamy żadnych pretensji, jesteśmy świadomi, że terapia Idy jest zgodna z najnowszymi trendami i światowymi schematami leczenia – powiedziała uspokajającym tonem.

Białobrzeski przestał szastać papierami, westchnął, potarł zmęczone oczy. A więc na szczęście ci ludzie nie mają do niego pretensji. Nie cierpiał roszczeniowych rodzin pacjentów, wyrzutów, krzyków. A już najbardziej nie lubił płaczu w gabinecie. Dlatego Tomasz nie bardzo mu się spodobał, miał takie czerwone oczy, wyglądał tak, jakby lada moment mógł zanieść się szlochem. Już ta starsza, matka... Urszula – tak się przedstawiła – bardziej mu pasowała. Sprawiała wrażenie chłodnej i rzeczowej. Z nią mógł rozmawiać.

Doktor Białobrzeski nie wiedział oczywiście, ile kosztowały Urszulę ten pozorny chłód i rzeczowość.

– Przede wszystkim chcemy wiedzieć, jakie są pana dalsze zamierzenia. Co jeszcze można zrobić? – spytała spokojnie, ze szczególnym naciskiem na słowo „jeszcze”.

– Od początku mówiłem, że ta choroba nie zostawia nam wiele pola do działania. Leczenie, nawet jeśli jest skuteczne, a w przypadku Idy tak było, nie gwarantuje sukcesu, ono tylko przedłuża życie. Choroba wraca w większości wypadków. Jedynym, powtarzam, jedynym wyjściem jest przeszczep szpiku. I to jak najszybciej. Musimy wyprzedzić chorobę i zdusić ją, zanim przejdzie do ofensywy. – Lekarz odzyskał wigor, lubił w rozmowach uciekać się do terminologii wojskowej lub piłkarskiej, zresztą był wielkim fanem futbolu i kapitanem polskiej drużyny hematologów.

– Dlaczego tego jeszcze nie zrobiliśmy? O przeszczepie mówimy od początku i nic się nie dzieje! – Tomasz był bliski hysterii.

Białobrzieski znów posmutniał.

– Musi pan zrozumieć... – zaczął, ale ugryzł się w język.

Temu facetowi umiera żona, matka trzyletniej dziewczynki, a on drugi raz w ciągu pięciu minut mówi mu, że coś musi! Jerzy Białobrzieski był świetnym lekarzem, po prostu brakowało mu miękkich kompetencji. Na studiach nawet było dwadzieścia godzin psychologii, ale spędził je, flirtując pod ławką z koleżanką z roku. Teraz brak umiejętności prowadzenia rozmów z chorymi i ich rodzinami boleśnie dawał mu się we znaki. Współczuł im. Chciał ich pocieszyć. Ale co, do cholery, mógł im powiedzieć? Nie dawał gwarancji, bo i sam Pan Bóg by ich nie dał w przypadku ostrej białaczki szpikowej, choroby, która atakowała podstępnie głównie dorosłych. Ale jednak najczęściej starszych niż Ida. Takich pacjentów, młodych, przed którymi było całe życie, a którzy lada moment mogli to życie stracić, żałował najbardziej. I o nich gotów był walczyć jak lew. Tylko co z tego?

– Proszę pana, przeszczepy szpiku to delikatna sprawa. Jest pan człowiekiem wykształconym i na pewno wie, jak skomplikowany jest ludzki genom. Prawdopodobieństwo, że gdzieś na świecie żyje bliźniak genetyczny pańskiej żony, czyli osoba, która na skutek zbiegu okoliczności ma genom ludzako zbliżony do tego pani Idy, jest jak jeden do kilku milionów. To nie jest nawet szansa, to jest nikły cień szansy. W bazie Poltransplantu, Fundacji DKMS i innych znajduje się ponad milion potencjalnych dawców, niestety, żaden z nich nie może być dawcą dla pana żony, po prostu nikt

nie pasuje. Próbowaliśmy szukać za granicą. Pudło. Wie pan czemu? Bo Polacy są specyficzną grupą, dość zamkniętą, za to z domieszkami obcej krwi i rzadkich w Europie i Stanach Zjednoczonych genów, na przykład azjatyckich... skutek najazdów tatarskich – wyjaśnił, widząc zdumione spojrzenie Tomasza. – Często mamy problem z dopasowaniem dawców zagranicznych. Najlepszy byłby, nie ukrywam, przeszczep rodzinny. Czyli, w tym wypadku, od pani Urszuli. Pani jest najbliższą rodziną, córka jest genetycznie najbardziej zbliżona do pani, więc szanse trafienia były, choć niewielkie. Ale przebadaliśmy panią i wiemy, że pani się nie nadaje na dawcę dla Idy. Przepraszam, zmienię temat: czy oboje państwo są zarejestrowani w bazie dawców?

Urszuli zrobiło się głupio. Banalna sprawa, trzeba było zadzwonić albo wypełnić formularz w internecie, pobrać wymaz z jamy ustnej, odesłać do Fundacji DKMS. Wszystko razem nie zabierało pewnie więcej niż kilkanaście minut. A jednak nigdy wcześniej o tym nie pomyślała, gdy Ida była zdrowa, a nawet, o dziwo, gdy już zachorowała. A teraz potrzebowała pomocy tych miliona osób, które miały więcej oleju w głowie niż ona i zgłosiły się jako potencjalni dawcy szpiku.

– Nie... – szepnął Tomasz.

Urszula zobaczyła, że lekko się zaczerwienił. Jemu także było wstyd.

– Dobrze. To znaczy niedobrze. Byłoby lepiej, gdyby państwo pomyśleli o tym wcześniej. – Białobrzeski rozkoszował się swoją mentalną przewagą i moralną wyższością.

– Ale gdybym figurował już w bazach, to by znaczyło, że nie mogę być dawcą dla Idy, prawda? – zauważył przytomnie Tomasz.